

# ADLER

## TAJEMNICA ZAMKU BAZINA

A black and white ink-style illustration of a character, likely a protagonist, in a dynamic, forward-leaning pose. The character is wearing a dark jacket and pants, and is holding a long-barreled rifle or shotgun across their chest. In their right hand, they hold a sword or dagger. The background consists of large, sweeping, circular brushstrokes that create a sense of motion and depth. The overall style is reminiscent of manga or anime art.

Marta  
Merriday

TOM 1 Z CYKLU BESTIARIUSZ FORBESA

**Marta Merriday**  
„Adler. Tajemnica zamku Bazina”

Copyright © by **Marta Merriday**, 2018  
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2018

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**  
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana  
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**  
Projekt okładki: **Robert Rumak**  
Skład: **Jacek Antoniewski**  
Ilustracje na okładce: **Jung Shan**

ISBN: 978-83-8119-287-3

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Opowieść tę dedykuję wszystkim łowcom,  
którzy polegli w starciu z bestiami nad Amurem,  
zwanym Rzeką Czarnego Smoka,  
na zmarzniętej ziemi Jakutów  
i w borach nadmorskich krain za wschodnimi  
rubieżami Syberii.*

Marta Merriday  
Chichester, 2017

# Spis treści

PROLOG . . . . .	5
POGRZEB HUGONA . . . . .	24
POWRÓT DO SZKOCJI. . . . .	36
RAPORT Z CHIN . . . . .	52
KRYPTYDY . . . . .	68
KLUB ZOOLOGÓW . . . . .	82
NOC NA CHARLOTTE SQUARE. . . . .	95
OSOBLIWA HISTORIA GEORGE'A WYATTA . . . . .	111
LUNCH Z PROFESOREM . . . . .	127
PSY . . . . .	139
CREDO . . . . .	154
LORD ADLER . . . . .	166
SEKRET TRUJĄCYCH DRZEW . . . . .	179
FESTIWAL DYNI . . . . .	197
SPRAWY LOKALNE . . . . .	214
POLOWANIE . . . . .	230
MADONNA . . . . .	253
ZĘBY ZŁA. . . . .	280
POSŁANIEC ZAMĘTU . . . . .	293
YE OLDE AXE . . . . .	309
DZIKI OGRÓD . . . . .	340
CHUSTKA . . . . .	358
NOCNA HIENA . . . . .	378
ŚMIERĆ DANIELA . . . . .	406
KREW W RAJU . . . . .	424
NARADA . . . . .	451
ZWIADOWCA . . . . .	480
NA ZAMKU . . . . .	541
EPILOG. . . . .	602

**Wersja Demonstracyjna**

# PROLOG

*Kiedy inni studenci zoologii łapali chrząszcze  
i opisywali je namiętnie w swoich dziennikach,  
ja włóczyłem się po azjatyckiej tajdze,  
tropiąc bestie,  
o których milczały uniwersyteckie skrypty.*

A.E. Forbes

BAOBAR, jak sama nazwa wskazuje, mógł być bestią prawdziwą lub zmyśloną.

Za istnieniem baobara przemawiał fakt, że ludy Kraju Nadmorskiego zaskakująco dokładnie go charakteryzowały. Otóż baobar miał być potworem monstrualnym – dorosły mężczyzna musiał zadzierać głowę, by spojrzeć bestii w jej małe, zalane krwią oczy. Ta informacja robi co prawda trochę mniejsze wrażenie, gdy weźmie się pod uwagę przeciętną wysokość mieszkańców Dalekiego Wschodu. Pięć stóp, nie więcej. Tak zwanemu dorosłemu mężczyźnie w odruchu hojności można by dorzucić jeszcze ze trzy cale.

Ale wysokość w kłębie to dopiero początek szczegółowej charakterystyki. O baobarze wiadomo było również, że posiadał długą, mocną czaszkę, zwieńczoną sterczącymi kłami, których kształt kojarzono powszechnie z sierpami (skojarzenie zupełnie naturalne w krainie zwanej niegdyś Związkiem Radzieckim). Zwierzę uzbrojone było w kopyta, których nie należało bagatelizować: jedno kopyto potrafiło rozłupać ludzką czaszkę, aż wypływał z niej mózg.

Z ciekawostek natury anatomicznej można przytoczyć fakt, że gdyby rozpruć baobarowi brzuch, objawiłoby się krótkie jelito – przy odrobinie szczęścia, wypchane białymi robakami. Krótkie

jelito świadczy rzecz jasna o tym, że potwór był mięsożerny, co też i potwierdzają lokalne statystyki ofiar tejże bestii.

Opisy innych cech baobara nie były już tak konsekwentne, a często wręcz kłóciły się ze sobą. Baobar zmieniał się w zależności od tego, w której części gór Sichote-Aliń rzekomo go widziano. Niektórzy głosili odważnie, iż potwór wtargnął do Rosji wprost z Chin, które wszak były o rzut kamieniem. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak baobar wyłonił się niczym potwór morski z wód przygranicznego jeziora Chanka. Krążyły też teorie, według których bestia była zwierzęciem stadnym, przemierzającym się w watahach. Watahy baobarów atakowały zwierzęta hodowlane lub rozszarpywały inne niewinne stworzenia na strzępy. Podobno grasowały też na przedmieściach miast, bezczelnie strasząc po nocach mieszkańców Bikinu czy Ussuryjska.

Bestie krwiożercze i mocarne z jakiegoś tajemniczego powodu zawsze fascynowały wątłych z natury ludzi. Większość z nas jednak woli rozprawiać o potworach aniżeli aktywnie ich poszukiwać. Prastare Królestwo Zwierząt, bezlitosne dla słabych i roślinożernych, potrafi bronić się przed intruzami. Od tego ma zabójcze kły, pazury i jad.

W odpowiedzi na kły *et cetera* myśliwi uknuli amunicję. Komu straszny baobar, jeśli można go powalić jednym, celnym strzałem w komorę? Przed pociskiem nie ma ucieczki. Człowiek uzbrojony w broń palną może bez lęku szturmować wrota Królestwa Zwierząt.

Nie o takich myśliwych będzie tu jednak mowa. Bohaterowie niniejszej opowieści wyznawali bowiem specyficzną filozofię łowów. Od dziecka parali się kłusownictwem, traktując to zajęcie najpierw jako zabawę, potem jako rodzaj sportu, a wreszcie – styl życia. Burzliwie plądrowali świat przyrody i bardzo szybko, przedwcześnie nawet, doszli do momentu, kiedy ubicie zwierza kulą nie dawało im już większej satysfakcji. Na widok rozwalonego łba bestii bardziej cieszyłyby się konstruktor sztucera, z którego oddano strzał.

Oni, łowcy, chcieli czegoś więcej.

– No i gdzie ten chiński potwór? *Gdzie że on, bliad’?! –* zawołał zniecierpliwiony Rosjanin o imieniu Wadim<sup>1</sup>. – Niechże już do mnie wylezie: zaduszę gołymi rękami!

– Nie taka była umowa – uciał natychmiast Emerson, tak szorstko, na ile tylko mu pozwalał jego wysublimowany akcent rodem z wyższych sfer Edynburga.

– *Ty, wot, ty... Ja тебе дам „chin’skij”...!* – zaperzył się Chińczyk Wei.

Wadim zignorował ich obydwu i kontynuował:

– Człowiek tuła się po tajdze za tą dziką świnia, dzień i noc tylko tropi, nic a nic nie śpi, je *gowniszcze*...

– *Gowniszcze?* – podłapał oburzony Wei. – Tylko wtedy, kiedy ty masz dyżur przy garach!

– A właśnie, przy okazji: co dzisiaj na obiad? – zainteresował się Emerson.

Rosjanin prychnął i bez przekonania zabełtał łyżką w blaszanym kociołku nad ogniem. Poruszona strawa wydzieliła wątpliwy aromat.

Wei skrzywił się i zajrzał kucharzowi przez ramię.

– Co to jest?

– Zupa z nogi.

– Czyjej? – spytał podejrzliwie Chińczyk.

Rosjanin tylko zarechotał.

Wei odsunął się od paleniska i ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersi.

– Cokolwiek to jest, ja tego nie będę jadł – oświadczył.

– Kto by pomyślał, że wy, Azjaci, jesteście tacy wybredni? – zakpił Wadim. – Czy to nie u was żre się szczury, insekty i jaszczurki?

Wei nie odpowiedział. Usiadł pod drzewem i zapalił zioło w fajce wydrążonej w poźółkłej kości.

– Emerson! – zaapelował zniecierpliwiony Rosjanin. – Ile jeszcze będziemy siedzieć pod chińską granicą? Jaki jest plan?...

---

<sup>1</sup> Do imion bohaterów w tym rozdziale nie należy się zbyt przyzwyczajać, gdyż je po prostu pozmysłali.

Emerson wyjął z kieszeni spodni wymęczoną paczkę papierosów, mechanicznie zapalił i oddał się studiowaniu mapy.

– Znowu wciągasz tą truciznę... – odezwał się sennie Wei.

Chińczyk miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby drzemał lub medytował. Jego czujne nozdrza momentalnie jednak wyczuły wrogi aromat, próbujący wgryźć się pomiędzy odór zupy z nogi a nęcący zapach zioła.

– Jaką tam truciznę – mruknął z lekceważeniem Emerson. – Zwyczajny papieros. Świeża paczka z bazaru w Chabarowsku.

– Z bazaru w Chabarowsku... – powtórzył złowieszczco Wei i pokiwał grobowo głową, jakby chciał powiedzieć: „No to koniec z tobą, bracie.”

Emerson nerwowo zaszeleścił mapą.

– Zmierzcha – rzucił ostro do towarzyszy, jakby to była ich wina. – Mówiłem wam, żebyście siadali bliżej ognia! Żadna iskra nie może nas zdradzić. Nie po to drążymy palenisko w ziemi...

– Ty nie drążyłeś – bezczelnie przerwał mu Rosjanin. – Dzisiaj to ja odpowiadam za biwak.

– Dzisiaj! – prychnął Emerson. – *Gieroj, bliad', naszotsia...*

– Dzisiaj!... – powtórzył Wei, głosem nieswoim, nawiedzonym. – Bestia zaatakuję dzisiaj!...

Spojrzeni na niego, zdumieni tym niespodziewanym prorocstwem.

Chińczyk siedział nieporuszony, z opuszczonymi powiekami. W wieczornej szarówce kontury jego sylwetki zaczęły mięknąć i wtapiać się w ciemny pień świerku.

– Znów się odurzyłeś ziołami, szamanie – sprowadził go na ziemię Emerson.

– Mówiłem, nie brać żółtego – konspiracyjnie zaświszczał Rosjanin. – Toż to inna rasa: prawie jak kosmita!...

– Zamknij się – odwarknął Emerson. – Z czego wnosisz, że to będzie dzisiaj? – zapytał Chińczyka.

Wei otworzył oczy i zmierzył towarzysza całkiem trzeźwym spojrzeniem.

– Ile lampartów dzisiaj spotkałeś? – zapytał rzeczowo.



– Lampartów?... – zdziwił się tamten. – Nie widziałem nawet jednego tropu.

– Ile widziałeś czarnych niedźwiedzi? – naciskał Chińczyk.

– Tyle samo, co ty: zero! Do czego zmierzasz?...

– Ile tygrysów?

– *Blin, o czym ty?* – nie wytrzymał podirytowany Wadim.

– Zamknij się, nie ciebie przesłuchują – odparł cierpko Emerson. – Wei, gadaj do rzeczy!

– Niech będzie, do rzeczy. Od tygodni wędrujemy przez Kraj Nadmorski. Nie jest lekko: co chwilę, jak nie tygrys, to lampart. Jak nie lampart, to niedźwiedź. Albo wataha wilków. Aż tu nagle wszystko znika, ani śladu niedźwiedzia, lamparta czy tygrysa. Więc ja się pytam, *riebiata*, do kogo należy to terytorium? Nie zastanawia was, kto rządzi w tym lesie? Nie dziwi was, że nagle pierzchły wszystkie drapieżniki...?

Zapadło milczenie.

– *Blin. On praw* – przyznał wreszcie z niejaką pokorą Rosjanin.

Wei wstał i podszedł do ogniska. W pewnej zadumie zasiedli wokół uwieszonego na gałęzi kociołka i wpatrywali się w długie języki pomarańczowych płomieni, które raz po raz wyłaniały się z dołka w ziemi i łaskotały spód garnka.

Przypominali trzy leśne elfy – z jakiegoś podłego, stojącego nisko w hierarchii szczepu. Mieli długie, tłustawe włosy, zmierzwiowane przez wichry wiejące znad Morza Japońskiego. Ich młode twarze były wychudłe i zmęczone od wielotygodniowej tułaczki, ręce i nogi – pokryte sińcami, zadrapaniami i opuchlizną po ukąszeniach robactwa i komarów. Byli porządnie brudni, bo choć wciąż obracali się w okolicach licznych dopływów rzeki Ussuri, to do wody wskakiwali tylko wtedy, gdy mieli na to ochotę, nie zaś wówczas, gdy wymagał tego krytyczny stan higieny osobistej.

Emerson zrzucił kaptur kamuflażowej bluzy i objawił swoje mroczne oblicze o ciemnych oczodołach i dramatycznie wystających kościach policzkowych.

– To prawda, że ani wczoraj, ani dziś nie widzieliśmy śladów żadnych znanych nam drapieżników – powiedział z namysłem.

– Co gorsza, nie widzieliśmy też żadnych innych śladów. Nie

napotkaliśmy nic, co wskazywałoby na to, że w tych okolicach żeruje bestia.

– Więcej optymizmu – zaapelował Wadim. – Nie słyszałeś przepowiedni Chińczyka? – Rosjanin zarechotał i wyłowił coś łyżką z bulgoczącej strawy. – Jezusie, a co to...?

– Wygląda jak ptasi płód – oświadczył beznamiętnie Wei.

– Z pewnością ma w sobie coś z noworodka – przyznał Wadim, poddając oględzinom pływającą w łyżce zawartość. – Może to łożysko...?

Emerson postanowił zignorować powyższą dygresję.

– Po kolacji – powiedział z naciskiem – proponuję zejść nad rzekę, może na glinie odcisnęły się jakieś świeże tropy.

Wadim przechylił łyżkę i tajemniczy składnik z dźwięcznym pluskiem wpadł z powrotem do garnka. Rosjanin zamieszał energicznie całą miksturę, po czym oznajmił uroczyście:

– No, panowie, zupa gotowa. Można jeść.

Wieczera nie była przyjemnym doznaniem, mimo że kucharz upierał się, iż strawa może nie jest smaczna, lecz za to wybitnie pożywna: wystarczą dwie łyżki i człowiek może przenosić góry.

Po kolacji zeszli nad rzekę, która spływała wartko z górskiego zbocza do rozległej, porośniętej ciemnym borem doliny. Emerson szedł pierwszy, ciachając wybujate zarośla ciężkim nożem. Przy każdej próbie okiełznania gęstwiny dostawał tęgie razy od ciernistych gałęzi i ostrych jak arkusz blachy liści. Z każdym ruchem wzniecał srebrzyste chmury uskrzydłych insektów, czyhających w mrocznym podszycie na kolejną ofiarę, z której mogłyby zasysać ciepłą krew.

Wreszcie wyłonił się z drapieżnego listowia i przystanął na skraju długiego jęzora mułu naniesionego przez rzekę. Obejrzał okolicę w wąłym, pulsującym świetle czołówki, po czym polecił towarzyszącej wyłączyć latarki.

– Dzisiejszej nocy zaczaimy się tutaj, na brzegu – zarządził. – Jak tylko pojawi się bestia, wyciągamy swoje zabawki – i do ataku! – Jego oczy rozbliły się fanatycznie w gęstniejącym mroku.

– Jeśli bestia w ogóle się pojawi – dodał sceptycznie Rosjanin i spojrzął na Chińczyka.

Wei nie dał się sprowokować. W milczeniu obracał w dłoni lekki sztylet, przykładając sztych do opuszki palca.

– Pochować noże – warknął Emerson. – Teraz już nie będą nam potrzebne...

Czekali zatem, błogosławiąc brak większego wiatru, względnie czyste niebo i sprzyjającą fazę księżyca. Noc tymczasem nadciągała szybko. Na granatowym niebie zamrugały małe oczka pierwszych gwiazd i wyostrzył się kontur księżyca.

Wadim niecierpliwie rozkwaszał komary i wypluwał inne, wirujące wokół robactwo. Spokój Chińczyka zmaćla monstrualna ważka – wówczas Wei rozpołowił jej nabrzmiąły tułów jednym cięciem sztyletu, tak błyskawicznym jak mgnienie lub trzepot skrzydeł kolibra.

Tej nocy czekali jednak na próżno. Choć czarny bór ożył i do ich uszu poczęły docierać charakterystyczne, niepokojące szelesty, odległe wycia i pohukiwania, nad rzeką nie pojawiło się nic godnego uwagi. Jedyłą atrakcją były wątpliwe popisy młodej sowy, która skakała po kamieniach nieopodal przyczajonych chłopaków i uczyła się polować na ryby. Wychodziło jej to całkiem niezdarnie.

– Uch, *bliad'*, więcej bym gołymi rękami nałapał! – pokręcił głową Rosjanin, obserwując poczynania sowy.

O poranku zerwał się wiatr i nad postrzępionym konturem lasu zakotłowały się tłuste, bure obłoki. Zmarznięci i niewyspani, łowcy baobara powrócili w podłyach nastrojach do bazy. Po skąpym śniadaniu, które bynajmniej nie poprawiło im samopoczucia, postanowili reanimować niskie morale, oddając się relaksacyjnym czynnościom: Wei palił fajkę, Emerson popijał parzoną herbatę w kruchej filiżance, towarzyszącej mu zawsze w podróży, Wadim zaś pogryzał paski wyschniętego mięsa niewiadomego pochodzenia. Siedzieli na miękkiej acz cuchnącej skórze z tygrysa, którego Rosjanin ubił nad rzeką raptem przed tygodniem, a następnie wygarbował własnoręcznie z dość satysfakcjonującym efektem: skóra nie pogniła i nie trzymało się jej robactwo. W pierwotnym zamysle, miała trafić na bazar w jednej z podgórszych osad, aby podratować skromne fundusze myśliwego. Wadimowi nie było jednak śpieszno do cywilizacji.

Rozparł się wygodnie na wspianiałych pręgach swojego trofeum i rzucił zaczepnie do towarzyszy:

– Teraz to ja jestem królem tajgi. Dziki kocur przegrał z włócznią Wadima!

Mimo ogromnych chęci, nie potrafili umniejszyć wyczynu Rosjanina. Wadim mierzył zaledwie pięć stóp i pięć cali, lecz nadrabiał krzepą, fantazją i wprawą. Podszedł tygrysa w pojedynkę – i rozpruł go włócznią długą na siedem stóp.

Nie do opisania jest triumf łowcy, uzbrojonego jedynie w prymitywne narzędzie. Żaden celny strzał nie daje takiej satysfakcji jak pokonanie dzikiego drapieżnika w walce wręcz. Naciśnięcie spustu to czynność niemal wyłącznie mechaniczna, pozbawiona pierwotnych emocji, poczucia siły i dominacji, które towarzyszy łowcy, kiedy wyjmuje umazany ciepłą krwią grot z trzewi rzęzącego zwierza. Dla takich właśnie doznań Wadim, Emerson i Wei włóczyli się po Zabajkalu i rosyjskim Dalekim Wschodzie.

Koło południa, kiedy Rosjanin i Chińczyk posnęli ze zmęczenia, chmury wtargnęły do doliny i uroniły obfity deszcz. Wadim powitał ten fakt wyszukanymi przekleństwami, podczas gdy Emerson przytomnie dorzucał drewna do ognia, by wzniecić potężniejszy płomień. Maskowanie paleniska zdało się na nic – chmury oblepiły cały las i zapowiadała się długotrwała ulewa. Takie deszcze najlepiej przetrwać pijąc gorącą, chińską herbatę przy wielkim ognisku.

Wei schował się do namiotu, gdzie przez parę kolejnych godzin w milczeniu strugał drzewce włóczni z nzebieranego jesionu. Na Rosjanina nawet nie spojrział, choć ten – przekląwszy już deszcz i jego sprawczynię, Matkę Naturę, od wszystkich najgorszych błazni – kręcił się wokół z rozbudzonym wigorem, to porywając gotowe drzewce by je przypalić nad ogniem, to zaś próbując uzbroić je w grot z głowni noży.

Gdy do namiotu wszedł wreszcie i Emerson, Wei powitał go cichym spostrzeżeniem:

– Czuję, że bestia jest w pobliżu...

– A ten znowu swoje! – nie wytrzymał Rosjanin. – Daj sobie spokój, dobrze ci radzę. Naczelnym prorokiem wyprawy i tak

już nie zostaniesz. Nie wiem, może za mało zioła sypiesz do tej swojej fajeczki? Mnie się jednak bardziej wydaje, że po prostu żaden z ciebie materiał na wieszczka. Takiemu jak ty nawet cała plantacja maku nie pomoże...

Ciemne oczy Chińczyka zwięzły się w dwie dramatycznie cienkie szparki.

Na linii Wei – Wadim wytworzyło się groźne napięcie, niewidzialna, rozżarzona linia, którą Emerson bezpardonowo przerywał, sadowiąc się pomiędzy towarzyszami. Wyłuskał z plecaka jakiś podniszczony brulion i począł w nim coś notować. Robił to powoli, z namysłem i pauzami, jakby dopiero niedawno posiadał umiejętność pisania. Nie umknęło to uwagi bystrego Rosjanina.

– Pisanie – sztuka nie tak łatwa, jak ją przedstawiają – pokiwał głową, niby to wyrozumiale, lecz z wyraźną nutą satysfakcji – sam opanował rosyjską cyrylicę przed wieloma laty, bodaj jeszcze w *naczelnoy szkole*.

– Być może – odparł beznamiętnie Emerson, nie podniósłszy głowy znad brulionu. – Dla niektórych.

Wadim omal nie wybuchnął szyderczym śmiechem. Patrząc go: „dla niektórych”! Niezły hipokryta z tego Emersona. Ledwo stawia słowa, a udaje, że to niby nie leczy się z analfabetyzmu i to w tak podeszłym, jakby nie patrzeć, wieku.

– A podstawówkę skończyłeś? – zaatakował Brytyjczyka.

– Na długo przed studiami.

– Że co?... Jakimi studiami?! Ty się najpierw naucz pisać, Emerson. A potem rachować, jak ci starczy zapału. Mnie nie starczyło. „Studiami”!... A to dobre! Profesor się znalazł! – Wadim z rozbawieniem poklepał Emersona po łopacie. – I cóż tam tak literujesz, profesorze? – Zerknął w dół na karty brulionu.

– To angielski?

– Nie, łacina.

– Łacina? – powtórzył głupkowato Wadim. Zaiste, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– Łacina, łacina – warknął Emerson ze zniecierpliwieniem.

– Ty podstawówkę skończyłeś? Tak? To pewnie ci wspominali o tym języku.

– Noo, wiadomo – odparł Wadim niepewnie, próbując wyłuskać z czeluści mózgownicy cokolwiek, co by potwierdzało jego edukację w tym zakresie. Wreszcie znalazł coś odpowiedniego:

– Ale to przecież martwy język, chłopie! – rzucił lekceważąco.  
– Po co to komu?

– „Martwy język”? – Emerson skrzywił się, jakby cytował idiotę. – Według mnie łacina to uniwersalny język do opisywania świata przyrody. Ale, ale – rzekł z roztargnieniem – deszcz chyba ustaje. Idź sobie może porzucać toporkiem czy coś.

Deszcz bynajmniej nie ustawał. Gęste chmury szczelnie opatuliły dolinę, nie dając najmniejszych szans na szybkie roz pogodzenie.

Wieczorem łowcy postanowili ponowić zasiadkę nad rzeką. Zeszli w dół doliny ścieżką utorowaną poprzednim razem przez Emersona. Brnęli przez błoto z pochylonymi głowami. Spod ich kapturów wystawały mokre nosy i zbite w wilgotne strąki włosy. Tej pochmurnej i deszczowej nocy czatowanie na zwierzynę było bez wątpienia poświęceniem. Wiedzieli jednak jedno: deszcz, nie deszcz – bestia musi zjeść. Kto wie, może zejdzie nad wodę?

Czekanie, dla poniektórych, było udręką.

– Nie rozumiem – świszczą nienawistnie Wadim – po co nam było schodzić nad sam brzeg, skoro w deszczu zwierzyna chętniej schroni się w wysokim lesie?

Emerson pacnął go po głowie, co miało oznaczać: „Przymknij się!”

Wei milczał. Może spał. W ciemnościach trudno było stwierdzić.

Patrzyli – i nie widzieli nic. Nasłuchiwali – i słyszeli jedynie szum deszczu i uderzenia kropli o bujne listowie.

Rosjanin tęsknie wypatrywał pośród trzciny małej sowy, lecz ta tej nocy chyba darowała sobie występy. Pewno schroniła się w pobliskim pniu rozłupanego przez piorun drzewa.

Ulewa nasilała się. Po paru godzinach bezowocnej zasiadki, Emerson zarządził ewakuację do namiotu, aby uchronić ekipę przed kompletnym przemoczeniem.

Po powrocie do bazy w lesie, Rosjanin demonstracyjnie poszedł spać, obróciwszy na resztę towarzystwa swój niezbyt atrak-

cyjny tył. Był w wyjątkowo złym humorze, gdyż w drodze powrotnej potknął się o zwalony pień i runął w dół podmokłego parowu. Koledzy nie pośpieszyli z pomocą.

Emerson i Wei rozpalili wielkie ognisko i porozwieszali wokół mokre ubrania. Resztę nocy spędzili pijąc mocną herbatę. O świcie Emerson przysnął, zaś Chińczyk wyprawił się na chwilę w głąb lasu, skąd powrócił z pękiem odurzająco pachnących ziół. Rozwiesił ziele nad ogniem, by się suszyło pośród wełnianych skarpetek i zdartej bielizny.

Na śniadanie posilili się zupą z chwastów, ubolewając nad brakiem dodatków w postaci wędzonej ryby lub upolowanego z procy gołębia. Deszcz rąbał uparcie o płótno namiotu i zapowiadała się kolejny długi dzień, spędzony w kompletnym bezruchu.

– Jak tak dalej pójdzie, to popłyniemy w dół z błotną lawiną – marudził Wadim.

– Za to po deszczu zwierzyna wychodzi aż miło – zacierał ręce Wei.

– Podobnie jak robactwo...

– W taką pogodę nie ma co schodzić nad rzekę – poddał się Emerson i pochylił głowę nad swoimi zapiskami. Coś tam pieczołowicie szkicował na kartach brulionu.

– Ech, ja to już bym chętnie poszedł wyżej w góry – westchnął Rosjanin, a towarzysze obdarowali go tęsknym spojrzeniem, które miało wyrażać podobne pragnienie.

Musieli z tym jednak poczekać, gdyż noc nie przyniosła żadnych większych zmian – kolejnego poranka siwa, mokra mgła znów pełzała po całej dolinie. Deszcz jednak zelżał, teraz padała już tylko gęsta, natrętna mżawka.

Wadim wybrał się nad rzekę, gdzie nałapał jakiejś drobnicy na wieczerzę oraz z frustracji ustrzelił sowę.

Nieplanowana śmierć małej sowy paradoksalnie jeszcze bardziej go zaszępiła i cały wieczór przesiedział grzebiąc markotnie w blaszanym kubku z wystygłą zupą rybną. Wei przeciwnie – zjadał ze smakiem, głośno siorbiąc i czkając. Co jakiś czas dosypywał do strawy ziół i jakichś tam chińskich proszków z małych, płóciennych woreczków. Z zaciekawieniem słuchał opowieści

Emersona, który swym beznamiętnym głosem głosił o deszczu meteorytów, jaki widziano przed wielu laty nad zaśnieżonymi szczytami Sichote-Aliń.

– Nudzisz – stwierdził Rosjanin płaczącym głosem. – Obaj mnie już nudzicie. Jeszcze jeden dzień deszczu, a zwariuję! Przyśięgam: stanę się wariatem.

– *Wot, durojob!* Wtedy cię zaduszę i pokroję twoje mięso na paski! – obiecał mu Chińczyk.

– Emerson, zabierz ode mnie tego żółtego sadystę – zaapelował Rosjanin.

Zdekoncentrowany Brytyjczyk wyjechał ołówkiem poza kartkę.

– *Damn!* – syknął na widok zepsutego rysunku. – Weźcie się w garść, bo zaraz się tu nawzajem zatłuczemy! – Nawet nie przypuszczał, jak bliskie spełnienia były jego słowa.

Wadim zajął mu do brulionu i omal się nie rozpłakał.

– Dobry Boże! – zawył. – I pomyśleć, że w Kijowie czeka na mnie narzeczona! Przynajmniej czekała jeszcze rok czy dwa temu... Taka kobieta! – histerycznie zakreślił w powietrzu dwa gigantyczne koła w okolicach piersi. – A ja się tu włóczę po lasach z chińską ciotą i upadłym naukowcem... I cóż to za koza?!... – wyrwał brulion z rąk Emersona i objawił światu jego koślawe malunki. – Boże drogi, Emerson, jesteś załosny! – cisnął zeszytem o ziemię i schował twarz w dłoniach, jakby się załamał. – Tyle mówiłeś nam o baobarach... Bestie, jakich nie zna świat!... A teraz siedzisz tylko na dupie i sadzisz kulfony w swoim kajecie. Gryzmolisz kalekie kozy... A potem je podpisujesz – po łacinie, jak wielki uczony. K-O-Z-A. Patrzcie go, po łacinie pisze, pieprzony mózgowiec!...

Emerson i Wei popatrzyli po sobie.

W dłoni Chińczyka błysnęło ostrze sztyletu. Wei zacisnął palce na oplecionej skórką rękojeści.

– Nie – rzekł cicho, lecz stanowczo Emerson. – To chwilowe załamanie. Przejdzie mu.

Ale Chińczyk nie schował noża.

Rosjanin załkał i napił się wódki.



– Tam w błocie – wychrypiał – na brzegu rzeki... tak mi się zdawało, że... widziałem trop jakby świńskich kopyt...

– Jakby świńskich kopyt? – zadrwił nienawistnie Wei. – To musiały być twoje własne, paskudne racice!

– Milcz, żółta mordolo!... – Szklana flaszką wystrzeliła w powietrze i zakreśliła nad ich głowami pijaną krzywą.

– Jutro – zagrzmiał Emerson, ze wzburzenia wznosząc swój stłumiony zwykle głos na niespenetrowane dotychczas wyżyny – jeszcze przed wschodem słońca, schodzę nad rzekę. Jeśli który z was stracił cierpliwość, droga wolna – możecie zwijać obóz i ruszać, gdzie wam się podoba. *Poszli won!* Ale powiem wam jedno: łowca pozbawiony cierpliwości to łowca gówniany. Wytrwałość i jeszcze raz wytrwałość! – Udzieliwszy im tej krótkiej nauki, Emerson zatrzasnął brulion z kozami z miną kapłana zamykającego świętą księgę.

Nazajutrz wszyscy odzyskali lepsze humory: przestało lać.

Kiedy Wei wylażł o brzasku z namiotu, oblepiły go długasne, mokre pajęczyny i znajome z lepszych, słonecznych dni napastliwe muszki. Obozowisko otulała co prawda mokra, mlecznobiała mgła, lecz słała się nisko przy ziemi, odsłaniając pnie i wierzchołki drzew oraz resztę pogrążonej w porannych ciemnościach doliny.

Zaspani łowcy ruszyli na swoją tradycyjną pielgrzymkę przez las. Warunki były kiepskie: głębokie błota po deszczu, szarówka i mgła, snująca się leniwie pomiędzy drzewami. Do tego gęsty, wybijały po opadach podszyt, który na nowo trzeba było rozcinać nożami.

Doświadczeni myśliwi stawiali ostrożne, nieśpieszne i możliwie bezszelestne kroki, rozglądając się wokół czujnie i nasłuchując pierwszych dźwięków budzącego się lasu. Między sobą porozumiewali się tylko gestami. Okazji do takich komunikatów nie było zbyt wiele, toteż czasami ich nadużywali. Wei, na przykład, zatrzymał nagle całe towarzystwo znaczącym ruchem ręki. Kiedy pochylili głowy, z napięciem wpatrując się w twarz Chińczyka, ten wyszeptał tylko:

– Czujecie ten zapach? W drodze powrotnej idę na grzyby!...

– Za który to komunikat oberwał mocnym pacnięciem w głowę.

Sytuacja powtórzyła się jakiś kwadrans później, gdy zbliżali się już do rzeki w dole – za szarą ścianą boru porastającego strome zbocze słychać było odległy szmer wezbranej wody. Chińczyk wykonał identyczny gest jak poprzednim razem. Emerson zatrzymał się, zaś Wadim syknął w duchu i wywrócił oczami: ejj, zawracanie głowy!...

– Co tym razem? – zaświszczał złowrogo, lecz Wei znacząco przyłożył palec do ust.

Emerson dyskretnym ruchem głowy wskazał gdzieś w dół zbocza.

Rosjanin omiółł spojrzeniem najbliższą okolicę: nic tylko dziesiątki czarnych, smukłych pni wynurzających się z siwych oparów niczym zastępy posepnych żołnierzy.

W poirytowaniu, Wadim zmarszczył brwi i wykrzywił twarz, dedykując tę mimikę Chińczykowi. Ten jednak ani myślał gapić się na Rosjanina. Razem z Emersonem przyczaili się za krzewem kłującego agrestu i wypatrywali coś przez myśliwską lornetkę.

Wadim wyteżył wzrok i teraz sam zobaczył, a nawet – usłyszał.

Nie dalej jak trzydzieści jardów od ich agrestowej kryjówki, niską mgłą rozpruwało nader ruchliwe cielsko. W zasadzie widać było tylko wierzchołek tułowia, który płynął przez szare odmęty niczym długi, ciemny i obły okręt podwodny. Cielsko wyrzucało z siebie okazjonalne pochrząkiwanie, charakterystyczne dla buchtującego zwierza.

Wadimowi wystarczyło jedno zerknięcie przez lornetkę, by stwierdzić, iż to nie był dzik. Rosjanin znał się na dzikach – w swojej długiej, kłusowniczej karierze wymordował ich nie dziesiątki nawet, lecz setki.

Ale jeśli to nie był dzik – to co?

Wadim ponownie przystawił oko do lornetki. Mgła z lekka się już przerzedziła, jednak nie do tego stopnia, by objawić sylwetkę zwierzęcia w całość, jak to się mówi, krasie. Widoczny fragment tułowia wskazywał na wyraźnie rozwiniętą przednią część ciała, coś jakby garb, rozsadzający cielsko tuż nad łopatkami. Skóra, pokryta szczątkowym owłosieniem, umazana była zaschniętym błotem, a może i kałem. Łeb, niestety, zanurzony był kompletnie

we mgle. I bez łba widać było jednak, że będzie się tu miało do czynienia z całością całkiem konkretnych rozmiarów. Mamut może to i nie był, ale już pół mamuta – owszem. Na oko Wadima, osobnik mierzył w kłębie tyle co żyrafa. Albo i więcej.

Zwierz zmierzał w stronę rzeki. Emerson machnął ręką, by kierować się za nim.

Wymagało to od tropicieli sporego wyczynu, bowiem musieli bezszelestnie torować sobie drożynę w drapieżnym, podmokłym podszycie. Zwierz tymczasem parł, zdawałoby się bez wysiłku, rozdzierając gęstwinię na pół.

Deszcze zmieniły nieco krajobraz nad rzeką. Wezbrane wody naniosły grube pokłady żwiru, głazy i połamane konary. W obawie przed spłoszeniem zwierza, łowcy przystanęli w zaroślach, tonąc po kolana w nieapetycznym, gęstym jak budyń błocie. Ich blade od niewyspania twarze natychmiast obsiadły roje muszek i krwio pijne komary.

Nad rzeką unosiła się mgła, tworząc perłowoszarą zasłonę, przez którą przebijały się kontury drzew oraz tajemniczego zwierza, który przystanął na mulistym brzegu, by napić się wody. Obrócił się zadem do ukrytych w krzakach obserwatorów i jął taranować ryjem płyciznę, żłopiąc łapczywie mętną, szarą wodę.

Łowcy w rosnącym napięciu obserwowali kołyszący się zad.

Wiedzieli już, że mają przed sobą zwierzę niecodziennych rozmiarów. Potężna, krępa sylwetka. Względnie mały tył. Przednie łapska jak u goryla, tyle że zwieńczone kopytami. Garb jak u wielbłąda. Skóra jak u owłosionego słonia. Cóż to za poczwara?...

Nie chcieli przedwcześnie spekulować. Niechże najpierw bestia wystawi łeb z wody...

Tymczasem grzęzli w zimnym błocie, z gryzącymi muchami na oraz w nosach, przysłuchując się chrapliwemu pochrząkiwaniu, donośnym parsknięciom, a okazjonalnie nawet obrywając w ucho paskudną strugą z błotnej fontanny.

Wreszcie, zwierz zaspokoił pragnienie i wyciągnął łeb z wody.

Był to łeb nieproporcjonalnie wielki, podłużny i ciężki, osadzony na krótkiej, muskularnej szyi. Nieduże ślepie ginęły w fałdach suto namarszczonej skóry. Bestia rozwarła długiej ryj, okratowany

masywnymi kłami. Kły dolne budziły szczególny respekt: grube, stalagmitowe słupy, wykrzywione na boki, zakończone złowieszcym szpicem. Kapitalny oręż.

Emerson z trudem oderwał wzrok od bestii. Odwrócił się do towarzyszy i jego usta wypowiedziały bezdźwięcznie: B-A-O-B-A-R.

Wiedzieli, co to oznacza. Mieli wspólny plan – albo raczej plan, który ustalił dla nich Brytyjczyk. Musieli pojmać stworza żywcem. Żadnych śmiertelnych razów – tylko tyle krwi, ile będzie konieczne, by okiełznać bestię. Potem, w przerzucie zwierza do Władywostoku miało im pomóc paru lokalnych typków. Chińczyk robił już z nimi jakieś interesy i mówił, że chłopaki są tanie, sprytnie i solidne – a dla wódki podejmą się każdego wyzwania.

Plan ataku nie był opracowany w szczegółach, to prawda, lecz na pewno nie zakładał tego, co nastąpiło w kolejnych minutach.

Pierwszy zaskoczył Rosjanin: zanim jeszcze Emerson dał umówiony sygnał do podejścia zwierza, Wadim wyłonił się z zarośli i rzucił z łapami na tył bestii – podobnie jak lew atakuje antylopę.

Łapy lwa jednakże są mocarne i silnie umięśnione, a co najważniejsze mają konkretne narzędzie do ataku – pazury. A łapy Wadima? Cóż, cały jego popis byłby raczej śmiechu warty i zakończyłby się wiadomym skutkiem, gdyby nie sztuczka Rosjanina.

Wadim znany był z niecodziennych wyczynów łowieckich, wśród których szczególnie chełpił się umiejętnością zaduszenia zwierza gołymi rękami. Ponoć już w dzieciństwie, jak opowiadał swoim towarzyszom, lubił ukręcać łby kundlom przy pomocy linki. Potem jednak, jak twierdził, zarzucił „sadystyczną” linkę i jako nastoletni chłopak ukręcił łeb wilkowi „bez żadnego wspomagania”.

Kiedy więc rzucił się na baobara z wystawionymi rękami, jego kompani byli pewni, że Rosjanin oszalał. Brać w łapy kundla to jedno, co innego – potwora!

– *Niet...* – wysapał Emerson, kręcąc z niedowierzaniem głową.  
– *On pizdanutnyj na wsju gołowu...!*

– *Ochujeł* – przyznał zastygły z szoku Wei.

Wtedy wyszedł na jaw podstęp Rosjanina.

Ledwo zaskoczona bestia zdążyła unieść zdumiony, ociekający wodą łeb, Wadim już wdrapywał się na jej garb, gotów wbić pazury w kark zwierza. O tak, pazury – i to jakie! Teraz Emerson i Wei dostrzegli to wyraźnie: Rosjanin uzbroił dłonie w kastety ze stalowymi ostrzami. Jeden cios w rdzeń kręgowy i...

– Nie taka była umowa!! – nie wytrzymał Brytyjczyk i jednym susem wyskoczył na arenę.

Natychmiast się cofnął, bo ugodzona bestia wydała wściekły ryk i poczęła rzucać się i wierzcąc kopytami.

– Pieprzę twoją umowę! – zawołał Rosjanin.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć.

W jednej sekundzie Emerson i Wei sięgnęli po swą broń, lecz wtedy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Najpierw bestia zarzuciła łbem i jednym, potężnym ruchem zwała Wadima w najeżone kamulcami błoto. Na tym zakończył się jej krótki popis, bo nagle niebo nad ich głowami zrobiło się czarne, a mgłę rozerwał wściekle wielki, uskrzydłony kształt.

Gigantyczny nietoperz, pterozaur, a może czarny smok – szkaradna stwora pochwyliła w swą paszczę baobara i w kakofonii przeraźliwych ryków zaczęła unosić się na powrót w zmętnione przestworza.

Wadim wydał żalony jęk, zagłuszony przez trzepot olbrzymich skrzydeł.

Emerson błyskawicznie rozwinął łańcuch, zwieńczony z jednej strony toporkiem z wygiętą w sierp głownią, z drugiej zaś obciążnikiem. Zamachnął się i wyrzucił w górę łańcuch, lecz skrzydlaty potwór był już za wysoko, by dać się pojmać. Brytyjczyk zarzucił więc metalową pętlę na szyję baobara, który zwisał żałośnie, ociekając krwią, rozpruty zębami potężniejszego stwora.

Emerson szarpnął za łańcuch i obejrzał się na Chińczyka.

– Pomóż mi! – krzyknął i Wei podbiegł, by wspólnymi siłami wyrwać baobara z paszczy czarnej poczwary.

Udało się. Bezwładne cielsko baobara tąpnęło ciężko o kamienie.

Czarny potwór wydał przeciągły, chrapliwy ryk i niezbyt zgrabnie zanurkował, by na powrót pochwylić swą ofiarę.